

*Noc z 30 na 31 julii*  
*Obozowisko pod zamkiem w Samborze*

Pan stolnikowic wracał do swojej stancji cały w skowronkach. Udało się! Miał nadzieję, że Waarłam nie łągał i był w stanie wpły-  
nąć na Dymitra, aby ten jutro rano udzielił posłuchania. Zresztą,

do diaska, Dydyński znał zbyt wielu ludzi, którzy za dwadzieścia siedem dukatów pruskich gotowi byli nie tylko zgrzeszyć przeciwko szóstemu przykazaniu, ale nawet zarębać własną matkę. A Waarłam Jaickij zdawał się nie tylko należeć do tej wilczej zgrai, ale i być jej przewodnikiem. Dobrego nastroju stolnikowica nie popsuł nawet fakt, iż kilka kroków dalej przy jednym z wozów siedział pan Nieborski w towarzystwie dwóch młodych niewiast. Rozprawiał z nimi swobodnie i ze śmiałością, która zwiastowała, że może już wkrótce zrobi się tam gorąco jak w łaźni.

I właśnie dlatego Dydyński przywołał pocztowego.

– Panie Nieborski – rzekł bez gniewu – ja nie sumuję, ale wyciągałem cię dwa razy z zamtuzów. Raz w Rydze, gdzie cię zabić i ograbić chcieli, a drugi raz w Wilnie, gdzie się zmówili dwaj bracia mieszcankowie, chcąc siostrę z bękartem w brzuchu wydać za szlachcica. Dlatego najpierw ci ją swadźbili, aby potem oskarżyć przed sądem o gwałt. I tam, i tutaj musiałem dobywać szabli, temu w łeb, a owemu w bok dać. Co mnie trochę zmęczyło. Ja wiem, że krew w tobie gorąca, ale te dwie dziewczki to wypisz wymaluj murwy z Sambora albo Lwowa. Uważaj, waść, i pomiar-kuj się, abyś nie został bez portek i sakiewki.

– Żadne murwy, panie! – odgryzł się pocztowy. – Za pozwoleniem, dwie mężatki, jedna Olszówka, a druga Kostusia – furmanów czumaków żony. Mężowie z dawna w podróży, więc przykro im w domu siedzieć. Porządne niewiasty, a nie ladacznice, proszę waszmości.

– Skoro porządne, to po co z nimi gawędzisz? Od porządnym dostaniesz w łeb warząchwią albo kułakiem po krzyżu, nie mówiąc o awanturze, która pewna jak amen w pacierzu, kiedy mąż was przydybie.

– Mężowie daleko. Pojechali do Inflant wozić leguminy za wojskiem. A niewiasty gorące i ohotne. Sam waść się przysiądź do nas.

– Tak mi się widzi, że je znam. I bynajmniej nie z dobrej strony. Sprawdź, panie bracie, czy nie francowate, zanim do czegoś dojdzie. Abyś przed wojskiem nie musiał się wstydzić.

- Co też waszmość... Ja tylko pogawędzić chciałem.
- Znam to waszmości gawędzenie. Od guziczka do gaiczka.

Odesławszy Nieborskiego, stolnikowic ruszył w stronę obozowiska. Na wozach i w namiocie dla czeladzi wszyscy już spali. Jedynie Borek trzymał wartę koło ogniska i popatrując co jakiś czas na stancję, polerował lufę kołowego arkebuza błyszczącą od czerwonych odblasków płomieni. Czasem w zamyśleniu przesuwiał ręką po ściętej skośnie kolbie, czując wyraźnie każdy z pięciu karbów wyciętych w drewnie. Po jednym za zabitego wroga. Pierwszy – szwedzki rajtar ustrzelony z konia pod Białym Kamieniem, drugi i trzeci – muszkietier i pikinier spod Dorpatu: jeden na wałach, drugi w czasie wycieczki. I jeszcze inflancki chłop z zasadzki w lasach pod Parnawą, a potem pacholik pana Borzęckiego – kiedy pokłócili się o to, kto ma wybierać chleby, bodaj pod Saalis albo inną wioską.

Dydyński zatrzymał się przy kotarze. Już chciał budzić Jaśka, aby pomógł mu rozebrać się do snu, kiedy usłyszał dalekie rżenie.

To była Białonóżka. Tak tęskny, żaloszny i wysoki głos mógł dobywać się tylko z jej pyska. Do licha, co tam się działo? Wszystkie konie z wyjątkiem dwóch woźników wygnali wieczorem na pastwisko nad Dniestrem, razem z końmi pozostałych szlachciców obozujących pod zamkiem. Stada pilnowało kilku pastuchów, więc stolnikowic nie martwił się o wierzchowce.

Od razu pomyślał o koniokradach, których schwytyanych in recenti, to jest na gorącym uczynku, wieszano zwykle bez sądu i dalszych ceregieli na najbliższej suchej gałęzi. Dlatego nie wkładając zrzuconej z pleców ferezji, w samym żupanie i z szabłą przy boku, popędził szybkim krokiem na pobliskie łągi.

Rżenie ucichło jak nożem uciął. Dydyński wiedział dobrze, że opowieści o końskiej dozgonnej wierności można włożyć między bajki i czasem nawet najlepsze husarskie wierzchowce, co z niejednej stajni owies jadały, złapane na arkan lub kan-tar pójdą za koniokradem równie łatwo, co niewiasty na skraj

świata za bogatym gachem. Jednak z Białonóżką była trudniejsza sprawa. To akurat był konik, który zapamiętywał dobrze swoich panów i kiedy próbował dosiąść go obcy, potrafił boczyć się, rzeć i sprawiać kłopoty.

Kiedy wychynął zza kępy rokity i wyrzwał na łąkę, na której pasły się wierzchowce, od razu wyczuł, że coś jest nie w porządku. A to dlatego, że na samym środku pustej przestrzeni jakiś człek w kapuzie ciągnął za sobą opierającą się i wyciągającą długą szyję Białonóżkę. Ktoś chciał sprzątnąć sprzed szlacheckiego nosa jego najpiękniejszego wierzchowca!

Dydyński porwał się do szabli. Wbiegł między zaniepokojone, strzygące uszami konie. Kilka spłoszyło się, pociągając za sobą cały tabunik – pomknęły w stronę rzeki, ledwie widoczne w ciemności, rozbiegły się na dwie strony na krawędzi obrywu, za którą zaczynało się kamieniste koryto Dniestru.

– Stój, szelmo! Złodzieju! – zakrzyknął Dydyński, dopadając do Białonóżki. – Zdaj broń!

Koniokrad nie bawił się w próżne gadki. Nie wypuszczając z lewej ręki wodzy, ciął na odlew. Ostrze szabli świsnęło, zderzyło się z brzękiem z zastawą pani Dydyńskiej – zawsze gotowej do przelania krwi.

Starli się w mroku, zdyszani, wściekli. Dydyński złożył górną zasłonę, obrócił szablę w rękę i jak błyskawica zripostował w pierś, lekko, z łokcia.

– Bywaj tu! – zakrzyknął głośno. – Gozdawaaaa! Bywaj tu!

Koniokrad nie czekał, aż cały obóz zerwie się na nogi. Obrócił się przez prawe ramię zwinnie jak łasica, wymknął spod gradu uderzeń, jakimi zasypywał go szlachcic, szarpnął za uzdę nałożoną na łeb Białonóżki, przyłożył koniowi płazem szabli przez zad.

Dydyński pomknął za nim, chcąc przebiec przed pyskiem konia. Źle zrobił! Wystraszona Białonóżka skoczyła przed siebie, uderzyła go łbem i lewą pierśią, przemknęła obok, prawie tratując kopytami. Jacek poleciał w trawę, zatrzymał się na kolanach, omal nie wypuścił z ręki szabli.

A podły szelma rzucił cugle, wychynął zza zadu umykającego konia, dopadł klęczącego szlachcica, rąbnął wbrew, wrąb, potem płasko – w pierś, z zamachu, wkładając w uderzenie całą siłę ramienia!

Dydyński zastawił się w ostatniej chwili. Nim zdołał poderwać się z ziemi, napastnik zbił jego szablę w bok, poprawił wrąb – aby zakończyć walkę jednym ciosem; tak szybko, że Jacek nie zdołał zasłonić się po poprzednim cięciu. Stolnikowic rozciągnął się jak długi, padł na bok, bratając się z trawą i końskim łajnem na pastwisku, co lepsze było niż mocny i głęboki pocałunek szabli. Przetoczył się na bok, chcąc podkurczyć nogi, a potem zerwać się jednym szybkim ruchem!

Dojrzał błysk uniesionej klingi i...

Ktoś osłonił go zakrzywionym ostrzem, przyjął cios na zastawę! A potem poprawił krótko w kiść, zasypał koniokrada gradem uderzeń. Nieborski! Przybiegł w hajdawerach, bez koszuli, jakby pożar zastał go na samym środku zamtuza, co zresztą poniekąd zdawało się prawdą.

Pocztowy chlasnął z podlewu, zbił przeciwtempo, dając czas swemu panu na poderwanie się z ziemi. Widząc przed sobą dwóch rozsierdzonych ludzi, koniokrad nie ryzykował dalszej walki. Skoczył za Białonózką, która pomknęła w stronę Dniestru, ale zatrzymała się na chwilę, nim znowu poszła galopem, kiwając do taktu łbem. Koniokrad dopadł klaczkę w trzech krokach. Porwał wodze, chwycił natolijkę za grzywę i jednym susem wskoczył na grzbiet, na oklep.

– Psi syn! – jęknął Dydyński. Złodziej uderzył konia łydkami, pomknął jak strzała, zostawiając z tyłu przeciwników. Jacek rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś konia, co i tak nie miało większego sensu, bo wszystkie wierzchowce były zarówno bez trzęzli, jak i kantarów; prędzej złapałiby za ogon szczygła niż któregoś ze spłoszonych rumaków. Spoglądał w przerażeniu, jak jego najpiękniejszy koń znika w mroku, krzyczał, wrzeszczał, budząc na nogi cały obóz, a pewnie i strażę na zamku.

I nagle stał się cud. Kiedy koniokrad dojechał do najbliższego pasma rokity i łożyny, zza chaszczy i chrustów wypadł tuzin jeźdźców – krzyczących, hańbujących i gnających wprost na uciekającego. Nieznajomy prędzej spodziewałby się gromu z nieba niż takiego powitania. Wstrzymał Białonóżkę, zawrócił w lewo, prawie w miejscu, ale czasu już nie było... Zanim znów poszedł skokiem, konni dopadli go, otoczyli, ściągnęli z siodła, rzucili na ziemię wśród krzyków i przekleństw, otoczyli korowodem.

– Co tu się dzieje?! – zagrział jakiś głos. A nadbiegający razem z Nieborskim Dydyński ku swemu zaskoczeniu rozpoznał zamkowych semenów, czyli konnych kozaków na służbie wojewody sandomierskiego.

– Wiążcie go w kij! – zakrzyknął zdyszany. – Łapcie, trzymajcie psiego syna, zanim go nie zeunusze!

– Kto to?! – zakrzyknął stary kozak z natłuszczonymi wąsami zarzuconymi aż za uszy. – Pane szlachcic, co to za zwada?

– Zdybaliśmy na pastwisku koniokrada!

– Narobiliście wrzasku na całą okolicę! Na zamku było słychać.

– Mieliśmy się może modlić po kryjomu?

– Spasi Chryste. Winnicie nam przysługę, pane – mruknął kozak. – Gdyby nie to, że akurat byliśmy w siodłach, pozbyłbyś się zacnego konika.

– To prawda – wydyszał Dydyński. – Masz rację.

Jednak słowo *dziękuję* nie przeszło mu przez gardło, przecież nie miał do czynienia ze szlachcicem.

– Zrobimy wymianę. Dostaniesz waszmość swego konia, a w zamian za to nie będziesz się sprzeciwiał, abyśmy tego marcowego gaszka wzięli do zamku. Na spytki. Za dużo tu się ostatnio kręci nieznamomych. Zgoda, pane szlachcic?

– Nie będę się sprzeciwiał – mruknął Dydyński, spoglądając na Białonóżkę, której wodze trzymał jeden z semenów. – Może to i lepiej, bo ja bym tego kurwego syna na paliku posadził!

– To i dobrze. Wasylko, oddaj konia panu Dydyńskiemu.

– Skąd mnie znasz?

– Całe województwo o tym gada. O waszmości ojcu, jego bracie...

Dydyński przymknął oczy i nic już nie powiedział.

Wracali wolno, zdyszani, razem z Nieborskim, pozostawiając Białonóżkę na pastwisku, aczkolwiek Jacek poprzysiągł sobie, że zaraz pobudzi czeladź i każe przygnać konie z powrotem do obozu.

– Jasna krew piczę ruchawicy zalała! – zakrzyknął nagle Nieborski i pognął gdzieś w mrok. Dopadł dogasającego ogniska i rozglądał się dokoła, a jego oblicze miało wyraz nadzwyczaj lichy i durnowaty.

– Co się stało, mospanie?

– Nie ma!

– Czego nie ma?

– Nie ma... Moich rzeczy! Nie ma Olszówki i Kostusi! Poszły sobie.

– To co, że poszły? Znajdziesz sobie inne.

– Poszły sobie... Moje buty kowane z juchty! – rozdarł się pocztowy. – Pochwa i rapcie od szabli pozłociste! Żupan falendyszowy żółty! Sakiewka z ortami i talarami! Czapka wilcza z trzęsieniem i piórami! O wy kurwy! Wy stare narożnice na trzeci bok kusiem diabelskim wyszturgane! Wy bachantki końską pytą rąbane! Jebichy, małpy, prukwy tatarskim kpmem batożone! Złodziejki, szelmy, bestyje kurewskie!

Miał rację. W miejscu obozowiska, w którym przed chwilą gził się z Olszówką i Kostusią, hulałby wiatr, gdyby nie to, że noc była cicha i spokojna. Obie niewiasty, rzekome żony furmanów, którzy zabradziażyli gdzieś w dalekich Inflantach, ulotniły się równie lekko i cicho jak dwie turkaweczki, zabierając dobytek pocztowego.

– Słyszałem: pan z pastwiska woła – darł sobie włosy ze łba Nieborski. – Szablę złapałem i jak stałem, poleciałem – na ratunek! A one ukradły! Trzymaj je, łapaj! Szukaj!

– To chyba wiatru w polu – rzekł przytomnie Dydyński. – Co tu dużo gadać, orznęły waści dzierlatki jak pijanego żaka,

co pierwszy raz do Smoczej Jamy zawitał. Ale nie desperuj, waszmość, boś przecie z dobrego serca to uczynił, a nie z głupoty. Uratowałeś mnie na pastwisku, gdyby nie twoja szabla, pewnie bym teraz wszystkie kości ze łba wybierał. Za co wdzięczny ci będę dozgonnie i krzywdę naprawię z własnej kiesy.

Podszedł bliżej i uściśnął prawicę pocztowego.

– A temu wszystkiemu – zatoczył ręką koło, ukazując miejsce, w którym jeszcze ze trzy kwatery temu obozowały dwie złodziejskie przechodki – dobrze się przyjrzyj i wyciągnij naukę. Primo – nie wierz nigdy niewieście, choćby cuda głosiła. Secundo – dobrych rad słuchaj, aby nie mówili potem w powiecie: mądry pan Nieborski jak każdy Polak – dopiero po szkodzie.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki